



Przedostatni tydzień
lipca minął. Weekend się skończył. Dwu-
dziesty trzeci, dwudziesty czwarty...sobota, niedziela... i nic...
Jakiś znudzony życiem pajac w koszulce, czy może jej resztkach, z
dredami pyta mnie ile kosztuje bilet do Ostrawy... chyba napiszę na szkle.
Ostatnie resztki sił zbierają się we mnie, a ja je zużywam na uprzejme oznaj-
mienie kwoty. Dredziarz coś burczy pod nosem i odchodzi. Pewnie pojedzie na gapę.
Ale co mnie to... Jedyna rzecz, która raz na rok umiła życie kasjerkom ČD (bo te od
Regiojeta mają automat do kawy) zniknęła. Jakiś obó z po polsku mó wiący zawsze
w przedostatnią sobotę wyjeżdżał... taki fajny... tyle energii w tych dzieciach... i
rodzice zawsze weseli...nie dziwota, jak mają z tygodnie spokoju.

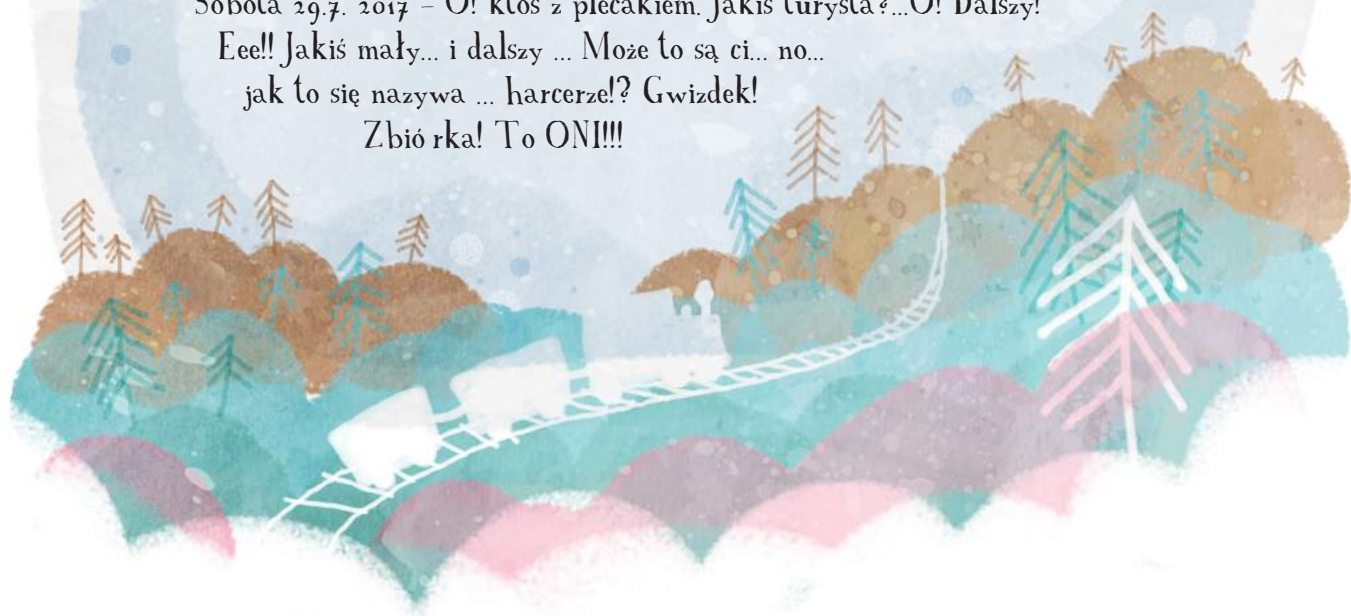
A teraz nic.

Sobota 29.7. 2017 – O! ktoś z plecakiem. Jakiś turysta?...O! Dalszy!

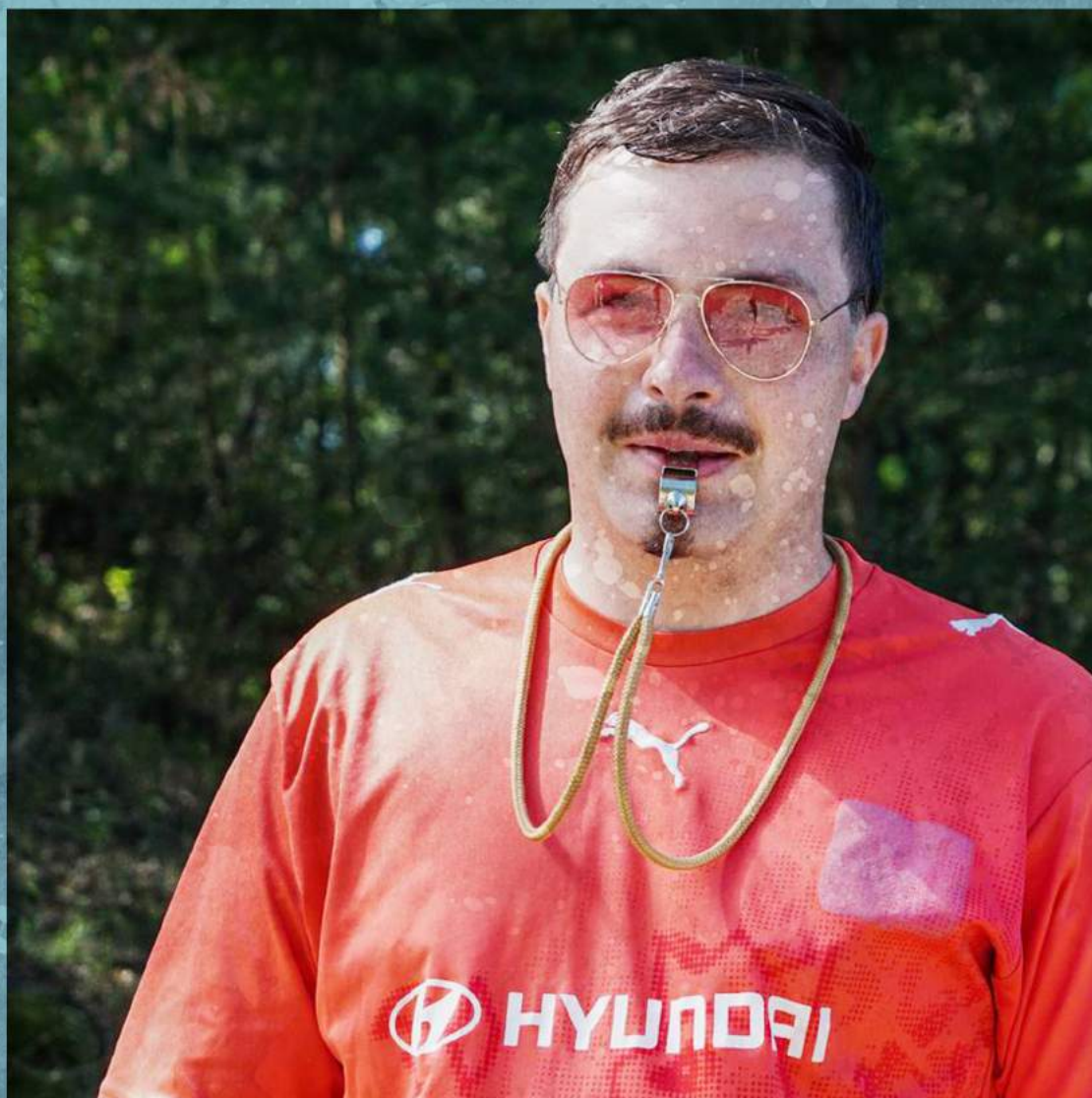
Eee!! Jakiś mały... i dalszy ... Może to są ci... no...

jak to się nazywa ... harcerze!? Gwizdek!

Zbiórka! To ONI!!!









Ej! Czujesz to m kasjerke? Ta na
nas ziapi jakby my przylecieli z Madagaskaru! –
Nie dziwej se po kasjerkach, mó my zbió rke. - To Tomasz
pełniący funkcję obozowego już po raz drugi rozpoczyna obóz.
Tradycyjnej mó wki o powrocie dzieci zmęczonych, brudnych, ale
wesołych nie brakło, wszyscy wsiedli do pociągu i pojechali. W
Suchdolu, gdzie, jak się pó zniej okazało, mieliśmy spędzić cały obóz.
Zaraz po wejściu do obozowiska nastąpiło wyjście. Do wody. Wydarzenie
to nie byłoby w żaden sposób b niezwykłe, gdyby nie Ujec, a w sumie to na-
weł nie on a jego brzuch. Podczas wesołej hulanki w wodzie i sporadycznych
atakó w topielijskich na kadrowcó w brzuch ten stwierdził, że mu się na obozie
nie podoba i chce do domu. Najlepszym sposobem na to jest metoda choroby
zakaźnej. Tak jak brzuch pomyślał, tak zrobił i biedny Ujec został przeniesiony
do osobnego namiotu.
Jedynie wysokie temperatury i potrzeba chłodzenia sprawiła, że porządek pra-
co-zabawowy odwró cono. Tak więc czekała nas praca. Rozpakować namioty,
rozpakować wó zek, zbudować kuchnię i na pewno coś jeszcze, bo było tego
sporo. Jednak w takim towarzystwie naweł przy pracy wieje zabawą i
nikt nie spostrzegł jak zleciało popołudnie.









30.7.2017
POOOOBUDKA, PO-
OOOBUDKA, WSTAĆ! DO HIGIE-
NY OSOBISTEJ SIE PRZYGOTOWAĆ!
CZAS 3 MINUTY!! – Piękny dzień rozpoczęli-
śmy, jak zwykle, od pobudki. Pierwsza higiena,
pierwsza gimnastyka poranna, pierwsze śniada-
nie i pierwsze pompki za „SMACZNEGO!”
Szczególnie ci, co byli na obozie po raz
pierwszy byli lekko zaskoczeni
takim biegiem zdarzeń.

PRZYGOTOW-
NIE DO CISZY NOCNEJ DO
LAT 15. CZAS 20 MINUT!!! – tak
zakończył obożny pierwszy dzień życia
obozowego i pluskiewki a pó żniej też akwa-
rium (pró cz Łosia, któ ry poszedł spać
wraz z pluskiewkami, bo 15 lat skoń-
czył dopiero tydzień pó żniej.

MINASTIRITH

Niedługo jednak
trwali w szoku, bo zaraz po
śniadaniu miały miejsce sprawy, które bardziej
doświadczona część uczestników w zaszeregowałyby do kategorii
„zło niezbędne”. Wyraz zaskoczenia na twarzach nowicjuszy powoli topniał a
pojawiało się zaciekawienie, bo gdzie jak nie na obozie można mieć nocną wartę?!
Po owocowej przekąsce akwarium, tym razem z Łosiem, udało się na grę – do Minas
Tirith poszukiwać informacji o pierścieniu w archiwach tego miasta. Musieli się
przegryźć przez serię szyfrów. Nie było jednak szyfry typu „kupa liter a ty
znajdź sens... miłej zabawy” ale raczej ciekawe zagadki. Raz na przy-
kład trzeba było napis był „pocięty” i trzeba było przesunąć
poszczególne warsty wobec siebie.







W tym samym czasie pluskiewki badały tajniki ładu
kuchennego (tam je sól, tam sól m noże...).

Smutnym i niezaplanowanym punktem programu był odjazd Ujca, po który go
przyjechali rodzice. Po obiedzie i ciszy poobiedniej wyruszyliśmy (albo raczej upały nas
wyruszyły) na spotkanie z wodą, a że Szarka miał akurat urodziny, i że z brzegu było
płytko i nie było jak rzucać, wbiegliśmy wszyscy do wody trzymając go.

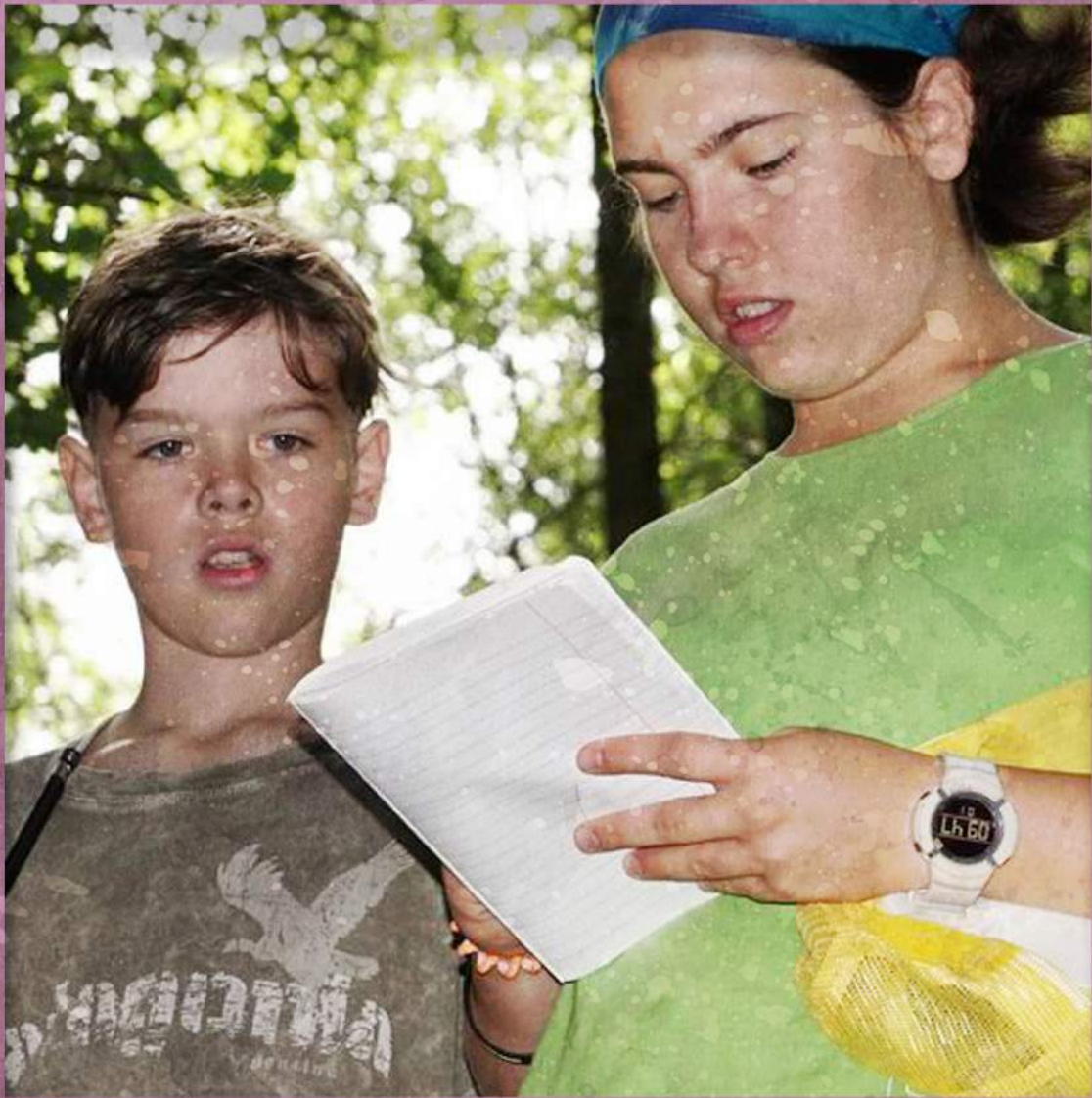
Po smacznej (jak zwykle) kolacji rozpoczęliśmy ognisko. Nie mieliśmy jednak spędzić
przy nim dużo czasu, bo w planie była pierwsza gra nocna.

Pluskiewki skupiły się w kole na jednym z brzegów w piskowny?? I w miarę
słuchania opowieści śródziemniaców powoli docierało do nich, że tym razem pójdą
w las pojedynczo. Wszyscy mieli pietra, jednak każdemu udało się pokonać
trasę w akompaniamencie dźwięków w bitwy na przeciwległym brzegu.



To
akwarium odby-
wało swoją część gry – bitwę
pod Amon Sul. Po stokach wokół
wody rozmieszczone zostały pochodnie,
które trzeba było zgasić kubkiem wody.
Niby proste, sęk w tym, że broniły ich Nazgule,
oryginalnie przerażające upiory na smokach,
w naszym wykonaniu kadrowcy z rurami z
PCW opakowanymi w piankę święcymi na
zółto. Na szczęście mieliśmy także takie,
tyle że czerwone i tyle że nie wszyscy.
Ale zato było nas więcej.
Odgłosy bitwy niosły się daleko
przez taśmę wody aż do plu-
skiewek.







31.7.2017

- „Piękny dzień, piękna
pogoda, idealny...”...ehmmm..no ...
raaaczej nie. W nocy lało, znowu wszystko jest
mokre a poranna warła siedzi pod kuchnią zapakowana
we wszystko, co było w plecaku. Nie tylko własnym. Obożny i
te jego jęki... poobudka... nonono, już się wypęłam z trzewi i ru-
szam z otchłani ciepłej namiotu na zbiórkę. Tyle że ty mrazem ona
przypomina raczej złaz... no bo komu by się chciało? Nikomu... chyba,
ze obożnemu. -

- Faktycznie. Poranek był nieco przygnębiający, ale już przy gimnastyce
zły nastrój minął i po rutynie porannej, tym razem w akompaniamencie
chleba z jajkiem wyruszyliśmy na spotkanie z Elrondem do Riwendel.
Gra polegała na odczytaniu wiadomości władcy Riwendel dla naszych
bohaterów. Gra krótka, lecz męcząca, bo jak tu się nie zmęczyć sko-
ro biegasz tak długo i tak szybko. Ale dla chcącego nic trudnego.
szczególnie, jak można zyskać punkty do punktacji obozo-
wej i, w gruncie rzeczy, **SPORT TO ZDROWIE**,
jak mawia pani Piasecka.



Zmęczenie jednak
szybko minęło bo wszyscy poszli
się kąpać. Ale hola! Coś tu nie
gra. Kąpią się same pluskiewki, kadry
z nimi jakoś mało, i w ogóle coś tu jest
bardzo nie halo. – Diabły, brać ich! – Banda
na czarno zmalowanych akwarkowców w rzuciła
się na niiewinne pluskiewki. – Pacznawiosło! – Do
niektórych dotarło, niektórzy byli w szoku, ale w
sumie wszyscy przeszli chrzest wodniacki (choć Pedro
nie był daleko od powtórki tej procedury w przy-
szłym roku, bo się czepiał i nie chciał pełnić zadań do
momentu, gdy usłyszał, że może cały chrzest przecho-
dzić na nowo) z honorem i otrzymali swe wodniackie
imię. Po raz kolejny tego dnia zmęczeniu, ale nad-
zwyczaj zadowoleni uczestnicy powrócili do
obozowiska.







Po obiedzie jeden
punkt programu, który należało-
by zamieścić w „Zabawach przyjemnych
i pożytecznych”, czyli wyprawa do lasu. Niby
zbierać drewno, a jednak mnóstwo frajdy, bo
takiego roslęgo suchego drzewa nie powala człowiek w
ramach pauzy obiadowej w centrum Cieszyna.
W godzinę byli wszyscy z powrotem a w obozowisku
leżała kupa drewna do przeróbki, za którą każdy za-
brał się jak umiał. Wykorzystano tę okazję do małych
warsztatów w pracy z narzędziami, więc, drodzy rodzi-
ce, niektórzy z was mogą bez powierzyć troskę
o drewno na opał swoim jedenastoletnim
pociechom.



Upały dokucza-
ły, a że dwa razy
dziennie się kąpać może
być nudno, zagraliśmy w
grę. Mielśmy zgasić Balroga,
płonącego potwora.

Sęk w tym (jak
zwykle), że wody nie
można w prosty sposób
przenieść, ale „przedostać”
do potwora tak, jak widać
z fotografii.

Upał nie miał szans,
jako że woda była wszędzie,
tylko nie w docelowych butelkach.
Wojtek, nasz zdrowotnik, zaliczył kolej-
ną ostrą akcję, gdy Michał nie wiedząc jak
rozciął sobie palec. Natychmiastowy Tour
de szpital zakończył się jednym szwem
i palcem jak
Gargamel.





A whimsical illustration of a campsite. In the center, a small green sprig with leaves grows from the ground. To the left, a large, round, brown object, possibly a log or a piece of bark, is decorated with a red and white pattern. To the right, a large, round, brown object, possibly a log or a piece of bark, is decorated with a red and white pattern. In the top left, a small white teapot is pouring liquid into a small white cup. In the top right, a large, round, brown object, possibly a log or a piece of bark, is decorated with a red and white pattern. In the bottom left, a large, round, brown object, possibly a log or a piece of bark, is decorated with a red and white pattern. In the bottom right, a large, round, brown object, possibly a log or a piece of bark, is decorated with a red and white pattern.

Gdzieś
w międzyczasie
urządzono warsztaty
przyrządzania steakó w á
la OPTY, czyli zrób
se sam.

co spotkało się z aproba-
tą wszystkich uczestników w (steaki są
tradycja w ostatni dzień obozu, nie na początku,
więc był to całkiem szok).

1.8.2017

Piękny dzień, piękna pogoda, idealny czas, żeby zacząć zmiany
w swoim życiu – Krzysztof Ibis, Cezik – KlejNuty. – No
i faktycznie. Cudowny poranek aż zachęcał do wyjścia z
ciepłego śpiwora, a jedynie zmarznięta wata (jak to po
bezhmurnej nocy) ubrana była jak na Antarkty-
dzie. W dodatku na śniadanie była chalka
(vánočka) z kawą zbożową.



Słodkie śniadanie
zawsze poprawi humor. Dzień ten był dniem kom-
pletnie „przegranym” (w sensie, że graliśmy w gry przez cały dzień).
Dopółdniowa gra Sauron polegała na zbudowaniu wieży Barad – dur
(Zacny suchar milordzie – W jakiej tonacji śpiewa Sauron? Barad Durl!)
Do tego były potrzebne kamienie, drewno, magia, koń, upiór, łań-
cuch i milion innych rzeczy. Gra była tak skomplikowana, że nie
dam rady jej wytłumaczyć. Trwałoby to tyle, co sama gra,
czyli 3-4 godzin. Podczas gry, jakoś „w biegu”, dostali-
śmy drugie śniadanie i, nie wiadomo jak, nadeszła
pora obiadu – zupy gulaszowej. Kolejny
kulinarny gwóźdź programu.







Na popołudnie zaplanowano przejście
labiryntu w Lothlórienu. Chodziło o dwa labirynty, jeden zwykły,
ze sznurka, zało całkiem rozległy, drugi całkiem niespotykany. Musieliśmy
całą wachłą poruszać się po lesie zawsze dotykając kłó regoś z oznaczonych
drzew. Celem było dojście do Galadriel, pozbierawszy przedtem kawałki
pierścienia pod drzewami.

W ogromnym upale mogły grać tylko 2 wachły zarazem (2 labi-
rynty), więc drugie dwie korzystały z dó br małej plaży i
czystej (a jakże!) wody w tym miejscu.

Dzień ten był
rzeczywiście „przegrany”, bo zostało czasu
już tylko na apel kolację i ognisko.

Kolejnym wydarzeniem gdzieś w międzyczasie było przyjście
Marceli i Karla, małżeństwa mieszkającego w namiocie tuż obok nas.
Pewnego wieczoru(nie mam pojęcia kłórego) dołączyli do naszego ogniska
i tak im się zapodobało, że weszli kompletnie w nasz rytm dnia – rano na
gimnastykę, wieczorem do ogniska. Obiadu nam nie wyjadali.

2.8.2017 – Krzysztof Ibisz już niczego mądrego o poranku nie wymyślił, więc przejdę
do sedna sprawy – próbnych wywrotek. Na początku musieli wszyscy bez wjtku
odbyć obowiązkową kójkę, potem jednak zapanował lekki zgiełk. Każdy, albo
prawie każdy chciał kójkę z kolegą czy koleżanką, inni chcieli by przewrócono
ich z dołu, czyli z wódy – zabawa w rekina – kamerzystę
(przewracający miał zawsze kamerę na głowie).







A whimsical illustration of a pond with a dragonfly, a brush, a bar of soap, and two slippers. The pond is a large, light green circle with concentric white lines representing ripples. A dragonfly with a grey body and orange eyes is at the bottom. A wooden brush with white bristles is on the right. A pink bar of soap with the word 'Jellyn' is at the top right. Two grey slippers with red bands are on the left; the left slipper has 'Sam' and the right one has 'dat' written on them. The entire scene is surrounded by small, colorful dots in shades of pink, orange, and blue.

Kamerę miał
na głowie przez
chwilę też Krzysztof, ale
rzeczywiście tylko przez chwilę. Po pew-
nym czasie wynurzył się z rozpaczliwym okrzy-
kiem „ONA MI SPADŁA!”. Zaraz teren zbrodni
(miejsce upadku kamery) zabezpieczono i ławica nurków w
amatorów w ruszyła jej z odsieczą jak Sobieski pod Wiedniem.
W końcu wyłowił ją Jacek i w zwycięskim geście uniósł ją
nad głowę. I w tym momencie kamera spadła po-
raz drugi. Żartuje. Wszyscy przybili mu po
piąteczce i tyle.



Zastanawiasz się teraz,
drogi czytelniku, skąd tu Jacek
w naszej opowieści. Przybył on w
okolice naszego obozu dzień wcześniej by
zachamieć nam banderę. Rozbił namiot
pod „drzewem wisielc0 w” (bo jak inaczej
nazwać gigantyczne drzewo z krzyżem i
świeczkami u jego st0 p?) i rozpoczął obser-
wacje. Wieczorem przygotował się do akcji i
rucił.

Podkrada się i podkradał, ale na nic się to
wszystko zdało. Został odkryty. W bardzo
podobny sposób b działał Dodo, któ ry ró w-
niez przyjechał po banderę, ró wnie na
marne.







Skoro już kamera była bezpieczna mogli Jacek z Bró niem trochę zaszałeć i spró bować, jak też może działać łódka do połowy pełna wody. Nie działa :D. Wywrotka nieunikniona. O obiedzie i ciszy poobiedniej Krzysztof Ibisz też nic nie wie. O pró bach na harcerza też nie, ale ja wiem i powiem. A było tak: Pierwsze przyrzeczenie na tym obozie składał Pedro, który zaczął i skończył już dawno przed obozem, ale nie miał jeszcze okazji do przyrzeczenia. Pó źniej aż dziewięć osób otworzyło pró bę, lecz jedynie czworo z nich ją skończyło na tym obozie. O tym bliżej napiszę przy ostatnim ognisku.

W każdym razie po ciszy powró ciliśmy nad wodę, by zagrać w grę Bilbo i Golum. Jeszcze przedtem obejrzelśmy scenkę. Od tego dnia wiemy, że odpowiedzią na każdą zagadkę jest słowo „stró m” (Hinsidejoke). Sama gra polegała na biegu po trasie i rozwiązywaniu zagadek. Były łatwe i trudne, podchwytliwe i takie, po których gracze łapali się za głowę z okrzykiem „jo je wó h”.



Etap zbliżał się
milowymi krokami (jak się pó żniej przekonali-
śmy, miał się zbliżyć, ale nie zbliżył) = nadszedł czas na
warsztaty pakowania, aby w dzień spływu poszło wszystko
jak z płatka.

Doświadczeni obozowicze mogli wykorzystać czas ten na grę,
tym razem lekko nietradycyjną.

Dlaczego? Zaraz tłumaczę. Była to gra nie tyle dla akwa-
rium, co dla kadry. Akwarkowcy mieli według mapy do-
trzeć na miejsce, mieli jednak między sobą dwoje zdrajców.

Danka z Michałem sprytnie wykorzystywali swe zra-
nienia, by stworzyć wskazówki dla prześladowców w
(poczkej, musimy se sprawić nogę).

Wykonali swe zadanie bardzo dobrze, bo prze-
śladowca ich kadra nie miała problemu. Na
kolację koperek, apel ognisko cisza i
spać.







3.8.2017

POOOBUDKA... - Co? Co to za głos?

WHAT?! ELO? No idę, idę. - Greenday...

wymiśniemy se dzisiaj z kadró m. - Faktycznie, coś takiego już na obozach było. Kadra tego dnia przejmuję rolę uczestników, a o program i chód obozowiska troszczą się najstarsi z uczestników. Tylko zdrowotnik i kucharz zostają „starzy”.

Kiedy opamiętaliśmy się z szoku porannego, rozpoczęło program. Wszyscy już zdążyli połapać, że w tym

dniu przenosimy się ze śródziemia do krainy

Smerfów! Gra pierwsza - Żółty smerf

1 - gra prosta i szybka, celem było
pobierać rozrzucone karteczki

i rozszyfrować na nich

zapisaną wiadomość.



I tu był problem, bo nie
wszystkie wachty były zdolne razem poskła-
dać alfabetu Morse'a! To jednak Osilek rekompen-
sował „literką za bieg”, więc w końcu wszyscy dokonczyli
szyfrowanie. Wynikiem był przepis na złotego smerfa.
Złoty smerf 2. Tak zwała się druga część gry. Należało zebrać
wszystkie składniki w odpowiednich ilościach i stworzyć jak najwię-
cej złotych smerfów. Biegaliśmy po łące i po lesie, łapaliśmy pasiko-
niki, cięli drewno, zbierali pokrzywy, wszystko znosili razem, miesza-
li, przerabiali aż w końcu wyszły złote smerfy.
Po nienawiści, z jaką wszyscy patrzyli na nie Tomasza, a EloMela, gdy
zwlekał ze smacznego można było poznać walory obiadu i, pośred-
nio, kucharki. Po tej uczcie ruszyliśmy z okrzykiem „Na ratunek
smerfetce!” Biegliśmy po wachtach po wyznaczonej trasie. Po
drodze czyhały klakiery – tegodniowa (wyraz staropolski,
działająca w tym dniu, genezy tej samej, co tegoroczna)
kadra – i od czasu do czasu próbowały nam
wyrwać „szatki” sterczące ze spodni.







Niektó ry z
klakieró w odniosły sukces, mi jed-
nak w pamięci została Kata, gdy chciała wystar-
tować zza krzakó w i runęła jak długa na drogę i łatwo
mogliśmy ją pozbawić „ogona”. Na końcu jeszcze niezauwaze-
nie wygrzebaliśmy smerfórkę z kupy piachu i jazda do obo-
zowiska. Gra ta była raczej męcząca (trasa długa, klakiery
wredne :D), jednak nie było czasu do stracenia – czekała na
nas dalsza gra. Niby się nazywała Znajdź swego smerfa, ale
ja bym ją nazwał Chodzenie od Annasza do Kajfasza (albo
od jagi do magi). Trochę jak w urzędzie. Było 8 osó b, każda
z nich była jednym smerfem, jednak nie tym samym przez cały
czas. My mieliśmy zebrać podpisy 12 smerfó w w danej kolejności
(każdy w innej). W sumie wyglądało to tak, że wszyscy wszędzie
chodzili i pytali – Jeżes Osilek? – na co dana osoba udzielała
w większości wypadkó w szokującą odpowiedź – Ni. – i idziesz
dalej, aż do skutku. Na planie wygląda to tak:
A teraz apel! I to jaki! Takiego apelu nie było od ...
roku, bo na zeszłym Greendayu też był.



Kadrowcy (normalni) wznosili skargi
na pogodę, na zamianę jogurtu (ze śniadania) czekoladowego
na orzechowy a Szarka pompkując zrobił dżdżownicę jak Ré mi Guillard.
Później jeszcze jeden apel, tym razem na poważnie, z normalną kadrą i normalnymi
problemami apelowymi, tym razem komendant poinformowała wszystkich o nadcho-
dzącym etapie.

Przy ognisku jeszcze na chwilę przejęli pałeczkę najstarsi z uczestnikó w bawiąc wszyst-
kich Bombą Zgrywusa. Był to balonik wędrujący po kole, ten kto go trzymał musiał
odpowiadać na pytanie a przekazać go dalej mógł tylko po poprawnej odpowiedzi.

W wypadku odpowiedzi błędnej dostał kolejne pytanie. Możesz pomyśleć, drogi
czytelniku, co to za problem trzymać balonik? Jak już pewnie zauważyłeś, w
naszych grach wszystko jest proste do momentu nim pojawi się przysłowiowy
czeski haczyk.

Tutaj była to szpilka w ręce Kały, która po upłynięciu nikomu niezna-
nego czasu przebijając okrągły dmuchany obiekt wędrujący (ODOW) i
tego właśnie trzeba było uniknąć. ODOWó w było oczywiście więcej.
zanda z wachł nie wyszła z tego bez „eksplozji”.

W ten sposób błyskawicznie zleciało nam nie tylko ognisko, ale
też cały Greenday.



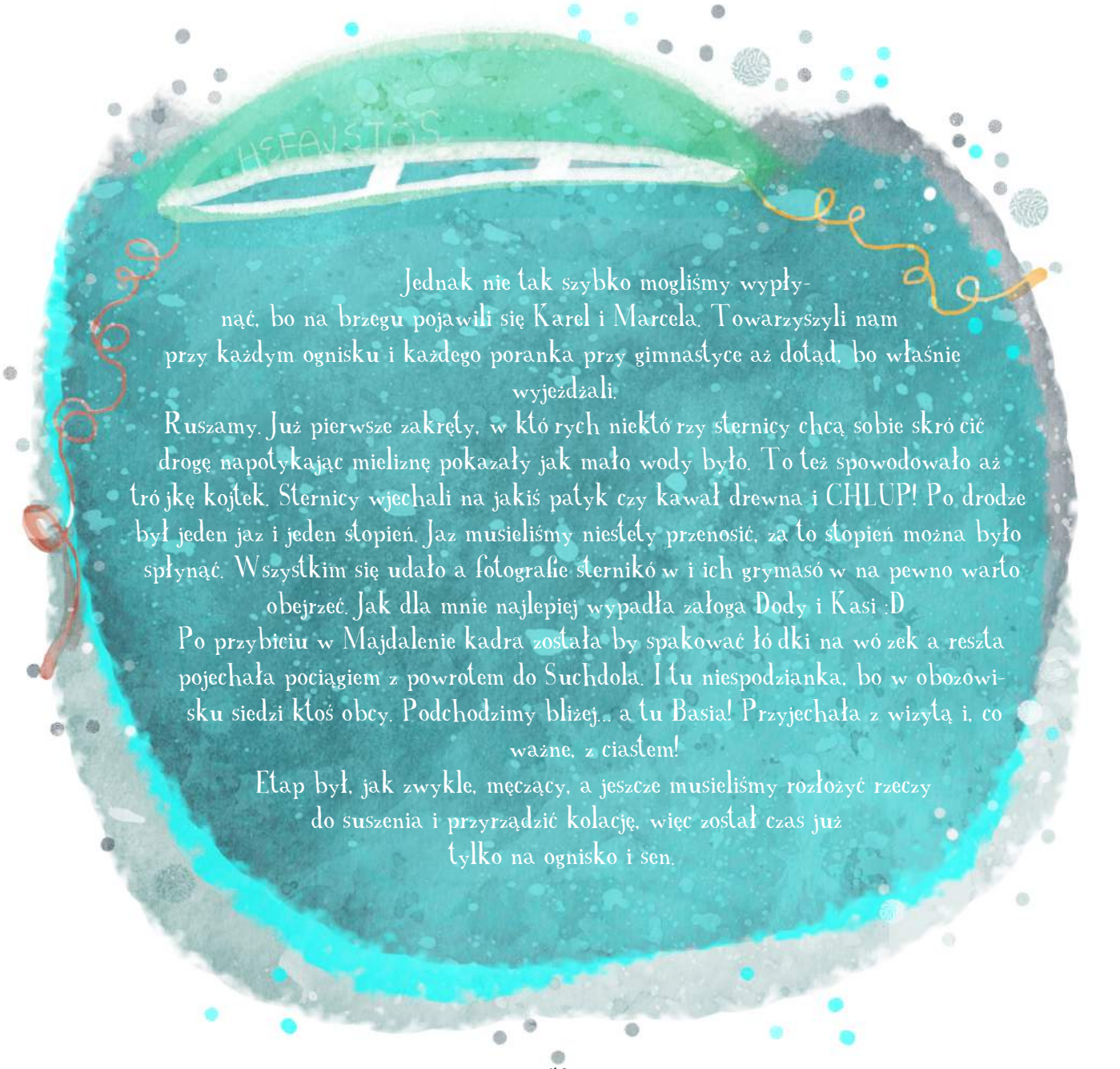




4.8.2017 -

Tego poranka wszyscy wstali pełni oczekiwań nadchodzącego etapu. A tu deszcz. Lało jak z cebra. Przez pół dnia. Programowcy przygotowani również na tę niesympatyczną przeszkodę w realizacji zamierzanego programu, wstawili w miejsce etapu zabawy na deszczową porę. Pluskiewki malowały gigantyczne... a bo ja wiem co to było... no powiedzmy obrazki, później wachty tworzyły razem kroniki Minas Tirith – opowieści o Szamocie Małym, wiersz o kiju Gandalfa i inne prezentowane przy ognisku wieczorem. Po obiedzie, której nie mogłaby się czeplić nawet Magda Gesler, przeprowadzono obowiązki przedwyjazdowe – rozdanie wiosel, kamizelek ratunkowych, rozdzielenie do załóg, i ogłoszenie kodu trasy (odległości między przeszkodami na wodzie).

- ŁODZIE NA WODĘ! – zabrzmiał okrzyk obozowego i flota osiemnastu jednostek pływających ruszyła na trasę Suchdol – Majdalena. Bez plecaków, bez namiotów i ciężarów, bo było tak mało wody, że z nimi nie dalibyśmy rady.



Jednak nie tak szybko mogliśmy wypły-
nać, bo na brzegu pojawili się Karel i Marcela. Towarzyszyli nam
przy każdym ognisku i każdego poranka przy gimnastyce aż doład, bo właśnie
wyjeżdżali.

Ruszamy. Już pierwsze zakręty, w któ rych niekto rzy sternicy chcą sobie skró cić
drogę napoty kając mieliznę pokazały jak mało wody było. To też spowodowało aż
trójkę kótek. Sternicy wjechali na jakiś patyk czy kawał drewna i CHLUP! Po drodze
był jeden jaz i jeden stopień. Jaz musieliśmy niestety przenosić, za to stopień można było
spłynąć. Wszystkim się udało a fotografie sternikó w i ich grymasó w na pewno warto
obejrzeć. Jak dla mnie najlepiej wypadła załoga Dody i Kasi :D

Po przybiciu w Majdalenie kadra została by spakować łó dki na wózek a reszta
pojechała pociągiem z powrotem do Suchdola. I tu niespodzianka, bo w obozowi-
sku siedzi ktoś obcy. Podchodzimy bliżej... a tu Basia! Przyjechała z wizytą i, co
ważne, z ciastem!

Etap był, jak zwykle, męczący, a jeszcze musieliśmy rozłożyć rzeczy
do suszenia i przyrządzić kolację, więc został czas już
tylko na ognisko i sen.







5.8.2017 -

Poranny szok! A w sumie dwa. Bo raz: Basiek z Ficzem. Przyszli po banderę (w sumie wszyscy prócz Basi jeżdżą na obóz z po banderę ... agresorzy :D). Jednak ich misja zakończyła się sukcesem tylko częściowym. Bandery im się zabrać nie udało, patrząc na układ obozowiska to nic dziwnego, ale zachamili nam jakiś mały gadżet kuchenny albo coś... już nie pamiętam.

Chwila na gimnastykę i śniadanie i szok kolejny. Apel poranny! Nawet najstarsi tego za dobrze nie pamiętają. Ale w sumie nic nowego, bo tylko normalny apel, tyletyle że z przywitaniem podchodzących i z karą dla wartowników – zaprezentowanie przy ognisku wieczornym ody na banderę. A teraz, po długiej przerwie, praca! Wypad do lasu po drewno. Tak jak zeszłym razem, była niezła frajda. Łamanie drzew, zabawa w drwala, ale poza tym jeszcze jedna gra w lesie.

Dwie wieże.

ODA NA BANDERĘ

O moja bandero słodka
Jakże ty jesteś nam droga
Gdyby nie ty to na warcie
Sciśła by nas nuda sroga

Czerwień i biel na twojej twarzy
niczym na śladzie GB
Pilnujemy cie zażarciej
niż dysydentó w VB

Teraz bardziej się cieszymy
jak cie w nocy obronimy
Bo głupi śledz nic nie wart
tyś jest celem całej warty







Zadanie

proste: zbuduj w godzinę

jak najwyższą wieżę z drewna, przy użyciu części o długości maksymalnie 45 cm. O! I masz sznurka tyle, że byś prześcierało utkał i jeszcze by ci zostało.

W sumie były trzy główne nurty architektoniczne. Minimalistyczne patyczki Ela – wbijas pierwsze 4 patyki głęboko w ziemię i masz nadzieję, że to utrzyma misterną konstrukcję z kilometra sznurka i paru patyczków. Wszystko ma kształt kwadratu, bo ... tak wyszło. Brutalny dekonstruktywizm Chorza (jak to Chorz :D) – patyki ułożone w ściśle określonej kolejności na swoje miejsce. Budynki zaskakują precyzją budowniczych i wykorzystaniem każdego kawałka materiału budowlanego (kupa patyków w a jak coś wyjmiesz albo choćby dotkniesz, to wszystko spadnie :D).

Banan budowniczy wszystkiemu zaradzi! – Nowoczesna architektura Banana wyznacza się ogromną odpornością na siły pionowe, jego monumentalne pomniki sztuki nowoczesnej utrzymałyby nawet słonia po kolacji na dachu). Za to odporność na wiatr boczny okazała się znikoma, bo pod koniec gry wieżowiec runął i powstał kolejny egzemplarz brutalnego dekonstruktywizmu Chorza.



Zaraz w ciszy miało bowiem miejsce wyjście do kempbudy. Niby tam siedzi tylko wredna baba, co wrzeszczy „KLOBÁSA!”, ale jakże po ponad tygodniu obozu smakuja zwykłe batoniki, kto rych w domu jest tysiąc, u każdej babci ze trzy miliony a tutaj ni kawałka? Dooobra no... Jest codziennie jakiś baton, ale to nie to jak se sam idziesz i kupisz to, na co ci się żywnie spodoba. Napakowane żołądki nie były najlepszym przygotowaniem do gry następnej – Podwieczorka hobbitów. W grze tej bowiem nie trzeba było ani myśleć, ani biegać, tylko jeść. I to nie byle co. W sumie... hobbity to wybitnie smakosze, ale ich apetyt za cholerę do naszego niepodobny

Po
powrocie nie
ma relaksu – trzeba drzewa
przywleczone z lasu przerobić w
drewno na opał.

Po chwili pracy, warsztatów w użycia siekiery i kupie frajdy zaczął się na skraju obozowiska pojawiać stos drewna, kto ry ró sł w miarę pracy. Prawdę mó więc, taką ilość drewna pamięta mało kto.

Obiad zostawmy obiadem, ale o jedzeniu jeszcze trochę.







To

i wcześniej opisane prze-
jedzenie skutkowało miernym entuzja-
zmem na widok przysmaków w z ...

Apel nr 2, tym razem wieczorny, odbył się tak, jak
powinien i w sumie cała reszta dnia była raczej zwykła
oprócz ogniska. Krzysztof, wieloletni fan herbaciany już tra-
dycyjnie poprowadził degustację herbat, ku zdziwieniu niektó-
rych, całkiem odmiennych od tych w woreczkach w Biedronce za
20 groszy. Jak wiadomo, herbata zawiera teinę, która w dużych
ilościach może utrudniać zasypianie, ale zmęczenie tego dnia nie dało
za wygraną i zaraz po ciszy wszyscy słodko spali (prócz warty, ma się
rozumieć).

6.8.2017 – Patrząc rano przecieram oczy, czy to jawa, czy to sen? Czy
mnie wzrok nie myli? Czy ja nie wariuję? Czy może widzę ducha?

Nie, nie, nie, nie, nie i jeszcze raz nie. Widzę Ujca zmarłych-
wstałego... znaczy... wyleczonego, ale u nas jak ktoś zacho-
ruje, to mówi się, że zmarł, więc jak wyzdrowieje, to
logicznie musi zmarłychwstać, co nie?



Tak
czy owak. Ujść wyzdrowiał i wrócił. Trudno go jednak było zaseregować do kłórej z wacht, więc jego pozycja w grach oscylowała między uczestnikiem a kadrowcem. Zaraz z rana nie musiał się tym jednak martwić, bo odbyły się warsztaty musztry. Dla wszystkich, bez różnicy, włącznie z kadrą. Jeszcze przed obiadem Basia wyrównała bilans osobowy tego dnia wracając do domu, co niezmiennie zaszczyliło szczególnie Danuskę (ale innych też, bo Basię wszyscy lubią :D). Całe szczęście, że zdążyliśmy warsztaty przeprowadzić rano, bo jak zaczęło padać w ciszy poobiedniej, tak padało aż do wieczora. Nawet apelu nie było, za to wieczorem wbrew pogodzie urządziliśmy lampowisko pod kuchnią i było git :D. 7.8.2017 – „gra – Palanty”. A co mają palanty do środziemia? A nic. Tyle że tegorocznemu obożnemu, Tomaszowi, płały literki na rozkazach figle nie raz i przy bardziej skomplikowanych wyrazach cały plac apelowy wybuchał śmiechem tak, jak wtedy, gdy grę Palantiry zmienił na Palanty. W każdym razie Palantiry były swojego rodzaju telefonem środziemia – kamienne kule przenoszące obraz i dźwięk. My używaliśmy telefonu kubkowego – 2 kubki połączone sznurkiem – a raczej całej ich sieci. Za jej pomocą przesyłaliśmy informacje za barierę z folii. Nie były jednak wolno dostępne. Aby móc „nadać” musiała reszta wachty trzymać balonik z wodą bez użycia rąk minimalnie w wysokości piersi. Nadający musiał jeszcze uciec spod grądu szyszek na drodze z bazy do Palantirów.







Nie było
to łatwe, ale w końcu wszyscy przeszali
co trzeba. Przyszedł czas na dzikie wariactwa. Do
dyspozycji było milion szyszek i 4 baloniki z wodą. Część zaczęła
rzucać balonikami w kółko – sport adrenalinowy, bo balonik
pęka, inni rzucili się na szyszkę, no w sumie rzucili szyszki na innych...
ale i tak każdy wie, że chodzi o wojnę szyszkową.
Przed obiadem trzeba było jeszcze odegrać część
turnieju Gimliballa!!!

Chodzi o modyfikację softballa, przy grze używamy krasnoludzkich
młotów i gramy na trawie. Mielismy dwa pola gry, czyli zawsze grały
wszystkie 4 wachty i nikt się nie nudził. Jakimś dziwnym zrzędzeniem losu
wyniki meczy z jednego z pól do gry były znacznie odmienne od wyników
z drugiego. Na jednym było typowym wynikiem 3:5 a na drugim 26:31.
Przez chwilę filozofowaliśmy, skąd taka różnica, ale nie to nie dało,
winnę rzuciliśmy na wyższą trawę na jednym z pól. Turniej trwał
nawet po obiedzie, więc po południu zastał czas
tylko na jeden punkt programu – przygotowanie do gry nocnej!



Nie było to
łatwa, ale w końcu wszyscy przesłali,
co trzeba. Przyszedł czas na dzikie wariactwa.
Do dyspozycji było milion szyszek i 4 baloniki z wodą.
Część zaczęła rzucać balonikami w kółko – sport adren-
alinowy, bo balonik pęka, inni rzucili się na szyszki... no w sumie rzucili
szyszki na innych... ale i tak każdy wie, że chodzi o wojnę szyszkową.
Przed obiadem trzeba było jeszcze odegrać część turnieju Gimliballa. Chodzi o modyfikację
softballa, przy grze używamy krasnoludzkich młotów i gramy na trawie. Mieliśmy dwa pola
gry, czyli zawsze grały wszystkie 4 wachty i nikt się nie nudził. Jakimś dziwnym zarządzeniem losu
wyniki meczów w z jednego z pól do gry były znacznie odmienne od wyników z drugiego. Na jednym
było typowym wynikiem 3:5 a na drugim 26:31. Przez chwilę filozofowaliśmy, skąd taka różnica, ale nic
to nie dało, winę zrzuciliśmy na wyższą trawę na jednym z pól. Turniej trwał nawet po obiedzie, więc po
południu zastał czas tylko na jeden punkt programu – przygotowanie do gry nocnej!
Gra Eisengard miała się odbyć na wydmie w Vlkowie, wiosce ok. 30 km od obozowiska.
Wieczorem naładowaliśmy się do pociągu w oczekiwaniu spokojnej jazdy. Ale nie takie sztuczki z ČD.
Po chwili maszynista stwierdził, że pociąg nie pojedzie bo pompa. I tyle. I czekaj teraz godzinę na
autobus zastępczy. W ten sposób do Vlkowa dotarliśmy godzinę później, tuż przed zmrokiem. Nie
było czasu do stracenia, odłożyliśmy bagaże i rozpoczęli grę – Enty. Enty – chodzące drzewa – to
jedne z najstarszych stworzeń śródziemia. Na wszystko mają dużo czasu (bo co to jest tydzień
przez pryzmat tysięcy lat), są bardzo mądre, ale czasami krnąbrne. Najpierw zbieraliśmy
je do walki, potem po ścieżce szli na miejsce, gdzie Saruman, wróg Entów,
zbudował zaporę do napędzania swojej maszynarii wojennej a w
końcu w zaciętej walce ją zniszczyli za pomocą
tarana.







Wyczerpani wszyscy
poszli na miejscu spać. Po raz pierwszy
sami, bez kadry.

8.8.2017

Rano powrót pociągiem do obozowiska, tym razem bez niespodzianek. W obozowisku dorabialiśmy zaległości snu z nocy. Podchodzący by się zdziwił na widok śpiworów w rozłożonych po całym obozowisku. Jednak nie samym snem spędziliśmy dopołudnie. Gdy wszyscy wypelzli ze śpiworów w trzeba było przyrządzić obiad. Nie dlatego, że by Danka była leniwa i olała nas, ale z powodów edukacyjnych. Mielśmy się nauczyć przyrządzania surowej ryby. Od wypatroszenia po jedzenie. Plan się jednak nie udał, bo przywieźli nam ryby wypatroszone. No cóż, ważne, że były, bo wciąż mogliśmy je piec, doprawiać i...JESĆ!!! Były pyszne! Po ciszy spiekota nie z tej ziemi, czyli wyjście do wody! Godzina pluskania i frajdy, skoki do wody i zabawa. Później ochłodzeni podzieliliśmy się na gry. Pluskiewki grały w grę Enty, akwarium w grę Istari.

Istari to zakon czarodziei wysłanych przez Ilúvatar (boga śródziemia). Ich główną bronią była nie tyle magia, co informacje. Tych się jednak musieli nauczyć. I to było zadaniem graczy w tej grze. Najpierw musieli informacje znaleźć – zebrać kartkę z pozą w lesie, co oczywiście nie było proste, bo zawsze był ktoś, kto cię łapał. Kiedy już coś zyskaliśmy, trzeba się było tego nauczyć. To działało tak, że pozę na kartce trzeba było ułożyć z ludzi. Bez mó wienia. Jeden „organizator” zbierał grupę, potem ich instruował i układał w pożądaną kształt, a potem się okazało, że ktoś nie potrafił stać na głowie. W efekcie często w niekórych pozach stał chłopak tam, gdzie autor wołałby mieć dziewczynę.



Wieczorne ognisko było
trochę inne niż zawsze. Zwykle bowiem koman-
dant wybiera trójkę uczestników, którzy w tym dniu
zasłużyli na zaszczyt rozpalania, bądź strażenia ogniska. Tym
razem byli strażnikami ogniska Danka z Krzysztofem za to, że
zawsze służyli radą i ochoczo dzielili się swoim ogromnym doświadcze-
niem z komendantem i resztą kadry.

9.9.2017

Poranne okrzyki pluskiewek „Wanoczka!!!!” uświadomiły wszystkim,
czymże nas dziś Danka nakarmi. Gdy wszyscy delektowali się słodkim
śniadaniem, kadra wyruszyła do lasu przygotować grę – Anduril. Był to
miecz, który odegrał istotną rolę w historii śródziemia, ale w wirze
walki rozleciał się na kawałki. Naszym zadaniem było go znowu skuć
oraz wykuć na nim starożytny napis runami elfów. Te wybijaliśmy
na mieczu, układając je z naszych ciał na ziemi. Prócz tego musiel-
iśmy zdobyć części miecza. W tym celu walczyliśmy wręcz. Nie, nie
biliśmy się pięściami! Staaliśmy na odległość ręki od siebie i starali
się przeciwnika wyprowadzić z równowagi przez uderzanie w dłonie.
Niby lepiej ma cięższy, ale bywało też tak, że Marcin wygrywał
z Brońniem czy Chorzem. W drodze powrotnej do obozowis-
ka nieśliśmy cztery, trochę obwisłe, bo niekto rym się
(samo) przesadziło z klejem, miecze.







Przywitały nas rzędy
klusek na macie i Doda z
Kasią pod dowództwem kucharki kształ-
jące ostatecznie egzemplarze. To jeszcze poprawiło już
dobry humor uczestników w, bo jakkolwiek nieprawdopodob-
ny był scenariusz dwu słodkich jędeń, właśnie się ziścił. Po ciszy
wszyscy z entuzjazmem wyszli po drewno i zrobili klar! No, może nie do
końca z entuzjazmem, ale w każdym razie ruszyli.
Drewna niby było dość, ale woleliśmy poszaleć przy ostatnim ognisku, niż
oszczędzać pałyki co wieczór. Fakt, że parę lat temu zdecydowalibyśmy się na
metodę oszczędzania, ale tym razem było nas tyle, że aż nie wypadałoby siedzieć
przy małym ogniu. Szczególnie przy ognisku uroczyście.
Skacząc od drewna do ogniska, ominęliśmy apel, gdzie ogłoszono jedną z najważnie-
jszych informacji tego dnia. Jutro będzie wycieczka! Do Trzeboña! Na apelu nie
należy okazywać zbytniego entuzjazmu, za to po apelu można przedyskutować
cały program na jutro. Tak też się stało.
Emocje nie trwały długo, przy kolacji dominował oczywiście temat jęde-
nia, a potem nie ognisko, a gra nocna! I tu, drogi czytelniku, nie daj się
zmylić. Gra całonocna oznacza grę w ciemności przez całą noc albo
jej dużą część tak, że nie opłaca się wracać do obozowiska na noc.
Tak było np. w Mėruszy. Gra nocna natomiast oznacza grę po
ciemku, który kończy się gdzieś w okolicy ciszy nocnej,
po której szybko idziemy umyć zęby i
spać.



W Oduli, bo tak nazywała się gra, chodziło o uwolnienie wcześniej przez Odulę, gigantycznego pająka, skradzionych i w nieludzki sposób potraktowanych współobozowiczów. Po drodze mogliśmy się natknąć na różne stwory. Przy niektórych trzeba było zatrzymać się i trwać bez ruchu, inne można było odstraszyć światłkiem, które oczywiście nie każdy miał. Kiedy wreszcie ktoś dotarł do porwanych zastał ich zapakowanych w pajęczynie od stóp do głów, z twarzami białymi jak śnieg, wydawali okrzyki niepodobne do żywych istot. Powoli, ale wytrwale posładowali wybawcy aż do skutku. Uwolnili wszystkich zakładników. Jeszcze długo po tym, jak pluskiewki poszły spać akwarium dyskuowało nad wyczynami aktorskimi porwanych. Widać, jeśli były rzeczywiście przerażające. O jedenastej oboźny niemiłosiernie ucina rozmowę i każe się wszystkim kłaść, jutro przecież czeka nas Treboň.



10.8.2017

- Kto by myślał, że zaraz z rana wypad do miasta, ten się srogo mylił. Rano, oprócz śniadania czekała nas jeszcze przebudowa kuchni – pierwsza część sprzętu i łódź odjeżdżała tego dnia do Cieszyna wraz z wózkami, które są szkieletem standardowej kuchni obozowej. Trzeba było zawiesić „dach” między drzewa wiosła i co tam się jeszcze przy robocie trafiło. Ale według hasła najpierw praca, potem zabawa, wyruszyliśmy na trasę z dworca w Suchdolu. Na miejscu wytłumaczono nam kolejną grę – Hobbita w Minas Tirith. Mieliliśmy zadanie, nieważne jakie, do którego spełnienia musieliśmy się trochę nachodzić po mieście. I tu po raz kolejny pojawia się przysłowiowy czeski haczyk – przy grze nie mogliśmy się zachowywać normalnie – na każde spotkanie dziecko w wózku robiliśmy „akuku!”, dosiadaliśmy się na 2 minuty, do każdego na ławce (nie wszystkich to ucieszyło) itd. Raz ktoś spytał kadry – Kaj je tyn kościół? – Na co zadowolony kadrowiec odpowiedział – Nie wiem, ale możesz się spytać babki co sprzedaje lody, o na to beje wiedzieć – ze świadomością, że pani przy lodach ma suknię, a gracze musieli na widok damy w sukni wykonać w tył zwrot i odejść w kierunku z którego przyszli :D. W każdym razie ubaw po pachy z reakcji ludzi albo z samego faktu robienia pociągu w środku miasta (dalsze z zadań). Po pysznym obiedzie (pieczone kurczaki!!!

I to jakie!!!)



Później
był czas wolny, wszyscy
rozeszli się po mieście, kupili chyba
tonę słodczy, pochorowani wrócili do obozowiska,
niektórzy zjedli nawet w regionie tradycyjną zupę rybą i już
siadaliśmy na pociąg powrotny.

11.8.2017 Niektórzy tego rana zbudził deszcz. Niektórzy obudzili się na brak gwiazdki o 7. A niektórzy spali dalej. W każdym razie, w tym dniu od rana lało jak z cebra. Początkowo nawet pasowało do programu, bo obóz się kończył i wszyscy i tak tworzyliby piosenki obozowe z deszczem czy bez i wszystko było spoko. Na chwilę nawet padać przestało, Nina, Pedro i Marian odjechali na zjazd rodzinny z tatą Niny i wszystko było pięknie. Zjedliśmy obiad i dalej było spoko.

To całe spoko się skończyło, gdy kałuże zaczęły sięgać pod namioty i ruszyliśmy do akcji. Uruchomiliśmy „humanokanalizację”, czyli system ręcznego odwadniania obozowiska – z kałuży do menażki, z menażki do kibla, z kibla do łódki, z łódki do rzeki. I tak w kółko. Czasami kopujemy także kanały, ale to obozowisko się nie nadawało. Przez parę godzin walczyliśmy z deszczem. Niektórzy w pelerynach, niektórzy bez, niektórzy rękami, niektórzy ciepłym słowem (jedynie pluskiewki, bo im zakazano wychodzić na deszcz.





Nagle deszcz się cudownie skończył i
wyszło słońce. Bez chmurki, bez niczego. Jakby ktoś
przyszedł teraz i nas zobaczył całych w błocie pewnie pomyślałby
o nas coś znacznie niemiłego (ale nie powiedziałby nam, bo jest nas 40 a
on byłby sam :D). Najpierw umyliśmy się, potem przebudowali poturbowaną
kuchnię (albo na odwrót? Już sam nie wiem.), posuszili kupy mokrych rzeczy i
zjedli kolację. Krótki apel i krótkie ognisko przeżyli wszyscy (może dzięki herbatkom
Krzysia?), ale jak tylko nadarzyła się okazja, każdy kładł się spać zmęczony walką z
żywiołem.

12.8.2017 - Ostatni prawdziwy dzień obozu. Niektórzy chcieliby już tylko leniuchować,
ale nie takie plany programowców w. Przed nami jeszcze jedna wyczerpująca gra, Pola Pelenoru.
Tym razem walczyliśmy nie przeciw sobie nawzajem, ale wszyscy razem przeciwko kadrze.
Nabiegaliśmy się solidnie, ale kadra jeszcze bardziej i to nas cieszyło. Oczywiście
próbę przegrał.







Na obiad stek! Po
raz drugi na tym obozie, zjawisko nigdy przedtem
niespotykane. Po obiedzie cisza i ostatnie pakowanie osobiste,
przebieranie do munduró w, załadunek wózka po raz drugi,
budowa ogniska (tradycyjnie ostatnie ognisko buduje kadra), nie
koniecznie w tej kolejności. Ostatni uroczysty apel. Gdy wszyscy

są w mundurach
po ostatnim apelu jest okazja, by zrobić sobie sesję,
najpierw tysiące fotografii grupowych, bo zawsze ktoś mrugnie i trzeba
robić ze sto razy. Później okazja do nowej fotografii profilowej na FB,
fotografię rodzenia dla babci, kadrowe foto i takie tam inne.

A teeeeraaaz... OGNISKO!

Ale stop. Obiecałem, że napiszę o próbach na harcerza, to napiszę. A
jest tak: Najmłodsi z uczestników w albo ci, kto rym jakimś cudem się nie
udało być na obozie czy zrobić próbę na zbiórkach i biwakach, w tych
dwu tygodniach się mobilizują i rozpoczynają próbę. Niektórzy układają
konserwatywny plan – teraz etyka, potem pływanie, topografia na wigilię...
i przedłużają próbę. Inni po mickiewiczowsku mierzą siły na zamiary, a
nie zamiar podług sił i to bardzo długo, często przez 13 dni obozu, kiedy
to na wszystko pozostaje jeden dzień i harcerza nie ma. Są na szczęście
racjonalni działacze, co Szok... działają i robią próbę za próbą
aż mickiewiczowcom i planiczom...planowaczom...planowcom...w
każdy raz im też zrobi się smutno i się zewspółmobilizują...może
skomobilizują jak już słowa zmyślam... obcojęzyczny przedrostek
wygląda bardziej inteligentnie :D... i zaczną coś robić.

Tym

razem takim ciągnikiem był Banan.

Kończąc podstawówkę poomijał obozy w takim stylu, że harcerza robił aż dziś. Z nim skomobilizowali się Adam, Ramona i Marcin. Okej. W końcu ognisko. Wszyscy powoli siedli do okręgu wokół gigantycznego stosu drewna. W ciszy i w mundurach ze zniecierpliwieniem oczekiwali komendanta. O rozpalenie ogniska proszę... Grzesia. A teraz przez chwilę standard: strażnikami zostają Kata i Czikiła (dla mniej kumatych: to siostra Banana). Już rozpałiło, dalsza piosenka, Kata walczy z ogniem, scenka, piosenka, a tu Kajus sęka... nie sęka, ale tak się rymuje.

Kajus wstaje i zaprasza czterech szczęśliwych prawieharcerzy do środka okręgu. Wszyscy wstają a oni odmawiają za Kaja przyrzeczenie. Mam szczerą wolę służyć dobru najwyższemu i ojczyźnie... Na słowie harcerza polegaj jako na Zawiszy". Kaja podchodzi do pierwszego z nich i zaczyna przypinać krzyż. Krąg zaczyna śpiewać. Kaja kończy przypinanie krzyży a wszyscy harcerze z kręgu zaczynają gratulacje. I było uroczyste, ale i odjazdowe! Ogłoszenie wyników gry całoobozowej jak zwykle poprzedzają emocje, uczestnicy przez parę ostatnich dni nie mają dostępu do swojego „konta punktowego (punktokonta?)” i do końca nie mogą być pewni, kto wygrał. Tym razem rozstrzygnęła ostatnia gra. Wygrała wachta Elfy Leśnej Osady. Nagrodą w tym roku były małe wory bosmańskie. Na Dunajec idealne. A teraz

zarekko!!!

Tona słodczy, chipsów w, czekolady i cukierków w, litry coli, soków w
i sam nie wiem, co jeszcze (akurat tego dnia mój żołądek
odmówił współpracy... idiota se lepszego dnia
wybrać nie mógł...).





Oboznego ostatnim obowiązkiem
tego dnia było ogłoszenie przygotowania do po-
budki w czasie 7 godzin. I zabawa na całego. Były szalone tańce,
wymyśliliśmy nowy płas, skakaliśmy wokół ogniska.

I ja tam z gośćmi byłem, miód i wino piłem

A com widział i słyszał, w księgi umieściłem.

Adam Mickiewicz Znaczy się, miodu i wina nie było, a nawet jakby było, to by
mi żołądek nie pozwolił, więc spróbuję zakończenia Fredry.

Bawiłem się z nimi społem, aż zasnąłem gdzieś pod stołem.

Tyle ze stołu nie było i spałem pod niebem... no cóż, poecie nie wygodzisz.

P.S. Strasznie mi się nie chce opisywać drogi powrotnej, bo co tam. W sumie
jedynym ciekawym punktem był apel na dworcu w Cieszynie, ale ten i tak
wszyscy widzieliście na własne oczy, więc co tu opisywać. Pozwolę sobie zakończyć
bardziej neutralnie niż kawałem wyżej, parafrazą tego samego autora bezczeszcząc
polszczyznę ostatnim zmyślonym słowem.

Tu bajka dobiega końca.

Już za oknem patrzeć słońca:

Przy kominku babcia siwa

Coś mamrocze, głową kiwa

Dając działwie pouczenia

O rozkoszach harcerzenia.

tekst by BRONIO

łobrazki by KAIUS BONUS